

# Białowieża

oooooooooooo  
oooooooooooo

## BIAŁOWIEŻA.

oooooooooooo  
oooooooooooo

Białowieża! magiczny czar tego słowa mimo tylu minionych wieków do dnia dzisiejszego dla myśliwego nie stracił nic na sile i uroku. Sam jego dźwięk, samo imię tej królowej puszczy i kniei naszych, przenika duszę do głębi, wstrząsa najskrytszymi tajnikami serca i wywołuje w wyobraźni wspaniałe, z krain marzeń myśliwskich i pieśni wieszczów naszych czerpane obrazy niebotycznych,

prastarych drzew, głuchych, odludnych ustroni, bagien, trzęsawisk, tych odwiecznych zwierza mateczników, nigdy okiem ludzkim niezbadanych.

Białowieża! komuż z myśliwych na samą nazwę nie staje na myśli potężny obraz królewskiego zwierza, którego resztki przed naporem cywilizacyi schroniły się do tej puszczy jak do ostatniej twierdzy niezdobytej,

Kto chce żubra jeszcze ujrzeć na tle kniei dziewiczej, temu już tylko w Białowieży szczęście to zabłysnąć może.

Rzecz sama przez się wcale niełatwa, zatem w najśmielszych marzeniach mych myśliwskich nigdy o takiej wycieczce nie myślałem. To też wiadomość otrzymana w Warszawie w połowie czerwca b. r., że organizuje się ekspedycję samochodami do Białowieży, zelektryzowała mnie do głębi. Z wdzięcznością najwyższą przyjąłem zaproszenie jednego z uczestników do wzięcia udziału w wycieczce jego znakomitym, znanym mi zdawna, samochodem — i ruszyliśmy w drogę natychmiast.

W Brześciu Litewskim wypadł pierwszy nocleg, poprzedzony nader miłym podwieczorkiem księżnej. M. w W., a wieczorem kolacją z tańcami. Nazajutrz o 1-ej stanęliśmy na obiad w Prużanach, miejscowości położonej na skraju puszczy. Za Prużanami jeszcze kilkadziesiąt kilometrów przebywamy w pełnym tempie, i oczom ukazuje się widok długo oczekiwany. Wśród ubogiej, piaszczystej okolicy, gdzie, jak okiem sięgnąć, osad ludzkich nie widać, wylania się na krańcu horyzontu siny pas — rośnie, ciemnieje, potężnieje i zbliża się coraz bardziej. To puszcza!... Serce żywiej bić zaczyna! Jeszcze chwilę — sygnał umówiony, — i pierwsze samochody, w zwolnionym tempie, pogrążają się w zieleń kniei białowieskiej, a cała jadąca drużyna poddaje się błogiemu czarowi otaczającej ją natury.

Chwila jest piękna i wzniosła, bo dla wszystkich pewnie jedyna — tak wzniosła, że milkną uwagi i krytyki, milknie gwar słów i tylko jedno-

stajny loskot motorów, sunących po gładkiej jak stół szosie, przerywa głuchą, niczem niezmaconą ciszę leśnego uroczyska.

Zaczynamy rozglądać się po bokach szosy i badać gatunki drzew, tworzących dookoła jakby mur zieleni. Obok sosny przeważa świerk, brzoza i białodrzew. Dołem podszycie tworzą zwykle leśne krzewy tak gęste, że na kilka kroków nic nie widać. Daremnie więc natężamy wzrok w prawo i w lewo, daremnie kilka razy powstaje alarm, że zoczo no żubra; — zwierzyna pozostaje w ukryciu. Mijamy chaty leśników, mijamy gęste, młode zagajniki, w jeźdzamy w część boru, w której liściasty drzewostan coraz więcej się uwydatnia; wreszcie las rzednie i ukazuje się w jego centrum wieś, której cała puszcza nazwę swą zawdzięcza — Białowieża. Wieś sama nie przedstawia się imponująco, ale jest dość malowniczo położona na wzgórzu nad brzegiem rzeki Narewki. Dworzec, a raczej przystanek, nie masywny, lecz zbudowany z drzewa w lekkim stylu, miłe robi wrażenie i odsłania między arkadami widok na staw i położony za nim pałacyk cesarski.

Chwilę wstrzymało nas załatwienie formalności przez prezesa, księcia L., u zarządzającego Białowieżą pozasłużbowego generała. Pan ten okazał się bardzo gościnnym, i nie tylko pozwolił nam na zwiedzenie puszczy, stosownie do danej poprzednio obietnicy, lecz ofiarował jeszcze na nocleg dla gości całą, urządzoną z wielkim komfortem willę, przeznaczoną dla w. książąt i świty cesarskiej.

Zostawiwszy pakunki w Białowieży, ruszyliśmy niezwłocznie do zwierzyńca, by za dziennego światła

jeszcze doń się dostać. Kazano nam u wejścia zostawić samochody i przesiąść się na czekające już, miejscowe furki rusińskie, bardzo podobne do zakopiańskich. Trochę ciasno, bo pō 5 do 6 osób na małym wózku, ale miękko, bo na sianie! Rozlokowaliśmy się szybko i przejechaliśmy dwie bramy, umieszczone w dwóch parkanach, a strzeżone przez leśników z nabitą bronią.

«Teraz, albo nigdy» — myślę sobie — i dla pewności podpytuję mego sąsiada woźnicę, Rusina z nieodstępną lulką w zębach, o perspektywę spotkania zwierza.

«Zubry budut?» — pytam łamaną ruszczyzną.

«Nie znaju» — odpowiada obojętnie.

Ale po chwili ożywia się i powiada, że zeszłej niedzieli dały się wcale blisko podjechać.

W oparkaniowym zwierzyńcu drzewa wspaniale, wyłącznie liściaste. U stóp ich rośnie trawa smaczna, aromatyczna, «żubrówką» zwana.

«Wot zubry!» — wskazuje woźnica.

Zrazu nic nie widzę, potem na prawo, pod przeciwległą stroną parkanu, pomyka cień jeden — dwa — cztery — kilkanaście; całe stado ciemnych kolosów pędzi na dukt, którym nadjeżdżamy, i w lansadach przesadza rowy i drogę o jakie 300 kroków przed końmi. Widać, że spłoszone trochę naszym widokiem zaniechały swej destruktywnej zabawy przy płocie. Niedługo jednak, uspokojone, znów zabierają się do pracy i rozpraszając się po lesie o jakie 100 kroków od drogi, powalają się podziwiać.

Mimowoli zeskakujemy z wózków i skryci w rowie lub za drzewem ob-

serwujemy wspaniale zjawisko. Jak wykute ze spiżu, zarysowują się na tle otaczającej zieleni potężne cielska leśnych olbrzymów. Potworne, brodate łby, harde, ponure wejrzenia, wypukłe garby, a niskie i lekkie zady tworzą całość uwydatniającą wielką siłę, dzikość i szybkość zarazem. Szczególniej kilka byków sprawia wrażenie niebywalej potęgi i siły. Nie wszystkie jednak są równe, jest kilka sporych ciolków. Na 19 sztuk, które w oczach naszych się pasą, odróżniamy 11 byków i 8 krów. Jedna krowa zbliżyła się tak do drogi, że widać ją, jak na dłoni. Co za strzał! Jaka poza do fotografii!.. O strzale coprawda mowy nie ma, ale zato jakiś amator fotograf wysuwa się naprzód i śmiało robi zdjęcie jedno po drugim. Wkrótce jednak odwołuje go nadleśny, którego, jak twierdzi, ta sama krowa trzy razy już zaatakowała.

Nagle nowy zaciekawia nas widok: oto stado jeleni, złożone z 14 sztuk, przeważnie rogatych, zbliża się pędem w stronę żubrów. Jeszcze chwila, a będą w samym środku!

Naraz całe stado staje, jak wryte. Łania przewodnia wyciąga szyję, wietrzy chwilę, poczem ucieka pędem z powrotem, porywając resztę sztuk z sobą.

Zdziwiony tem zachowaniem, pytam nadleśnego. Potwierdza me przypuszczenie, że jelenie unikają żubrów, które w razie spotkania śmiało je atakują i zawsze do odwrotu zmuszają.

Nadleśny udziela mi też chętnie dalszych szczegółów o żubrach w Białowieży. Powiada, że epidemia, o której pisano w gazetach, nie tak wiele, jak sądzą powszechnie, pochłonęła

ofiar. W zwierzyńcu nie padł ani jeden żubr. Że stan zdrowotny w puszczy jest tak niekorzystny, tłumaczy się brakiem wody na olbrzymiej, około 500000 morgów obejmującej przestrzeni.

Wszelkie dotychczasowe plany i próby celem usunięcia braku wody napotykać na niezwalczone trudności. Mimo niesprzyjających ich rozwojowi warunków, można jednak liczyć dziś jeszcze ilość żubrów na wolności w puszczy na 700 do 800. Mnożą się bardzo wolno, bo krowa, na trzy lata ma jedno -- najwyżej dwa młode.

Zapatrzeni w oddalające się stado, zwolna dopiero spostrzegamy się, że mrok już zapada i że czas wracać do domu. Przypomina rzeczywistość drobny, ale przejmujący deszczyk, który zdążył nas zmoczyć do suchej nitki. Żegnamy raz jeszcze okiem niknące w zieleni sylwetki żubrów, żegnamy straż leśną i rusińskie powózki, a siadamy do samochodów, które niezadługo niosą nas poprzez puszcę z powrotem do wsi. Część towarzy-

stwa podąża na wieczór do Bielska, gdzie czeka ich suta kolacya i teatr małoruski z tańcami. Pozostali spędzają wieczór na pogawędce i oglądaniu trofeów myśliwskich, wśród których dwa byki, ubite przed kilku laty, wzbudzają szczególną naszą ciekawość. Rogi krótkie, w półksiężyc ku górze zakręcone, nos garbaty, oczy wypukłe, szerokie chrapy, kądziel miękka i kędzierzawa.

Nazajutrz, rano, start do drogi powrotnej. Od Prużan obieramy tym razem inną drogę, na Drohiczyn, dawną stolicę Podlasia. Malownicza, wesoła okolica nadbużańska, barwne stroje tamtejszego ludu tworzą miły kontrast do przebytych odludnych ustroń i jednostajnie szarej odzieży białoruskiej. Jednak wyprawa do dzikiej, pełnej majestatu Białowiejskiej puszczy pozostanie na zawsze niezatartem, jednym z najbardziej głębokich i zarazem najbardziej potężnych wrażeń i wspomnień dla wszystkich, biorących w niej udział myśliwych.

*Adam Chłapowski.*

